



Z sercem do ludzi

Jak w bezdomnych zobaczyć ludzi, którym warto pomóc?

STRONA 4-6



To jest kryminal!

O rynku książek – nie tylko kryminalnych – rozmawiamy z Pawłem Marszałkiem

STRONA 8-10



Kim pan jest, panie prezydencie?

Sprawdzamy gospodarcze poglądy nowych wódcy miast

STRONA 3

Życie Regionu

Kujawy-Pomorze .info

numer 19 |
7 maja 2024



Święto flagi, dwudziestolecie wejścia Polski do Unii Europejskiej, rocznica Konstytucji 3 Maja... Początek maja stał pod znakiem świętowania. Świetna okazja, żeby między jednymi wyborami, a drugimi, przypomnieć sobie, że więcej nas łączy niż dzieli.

więcej na str. 12 ▲

fot. Szymon Zdziebło dla UMWK-P

 komentarz

POLACY, WSZYSTKO SIĘ STAŁO!



Mariusz Załuski,
redaktor
naczelny

Z takimi momentami wagi ciężkiej, jak wejście do Unii Europejskiej, każdemu coś się kojarzy. Mi na przykład kojarzy się pewien Rumun. Staliśmy sobie w długiej kolejce do odprawy na lotnisku, a Rumun, kiedy dowiedział się, że jestem Polakiem, zaczął entuzjasmować się niezwykle, jak to mi tego wejścia do Unii zazdrości. Nieco mnie to wtedy dziwiło, bo miałem w głowie wszystkie strachy z naszych debat przedakcesyjnych. A okazało się, że to Rumun miał rację.

Bo te dwie dekady kompletnie przeorały i Polskę, i Polaków. I nie myślę tu tylko o tym niesamowitym skoku gospodarczym po uzyskaniu dostępu do unijnych rynków, o funduszach europejskich napędzających inwestycje, o szybujących budżetach miast i wsi. Bo to, co mniej widać, niż nowe mosty i szpitale, to zmiany, które zaszły w nas. Bo jacy jesteśmy po 20 latach w Unii? Nabraliśmy tego fantastycznego poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji, i to mimo paru mocnych kryzysów. Zupełnie zmieniła nam się jakość życia, co wynika i z rosnącą zamożnością, i z unijnej transparentności, i zmiany mentalności, przejawiającej się choćby w stylu mówienia, myślenia i postępowania wobec słabszych grup społecznych. I wiem, wszyscy irytowaliśmy się na wymuszone normy i naśmiewaliśmy się z unijnych dyrektyw, których sens trudno było uchwycić... Tyle, że gdzieś na końcu była europejska jakość wszystkiego – od produktów rolnych po funkcjonowanie państwa.

I tak naprawdę odnaleźliśmy się świetnie w nowym świecie, startując z krainy tanich gasterbeiterów, z wiecznym „Polacy, nic się nie stało” na ustach, a finiszując jako ważny unijny kraj. Ba, dziś nawet jako europejska nadzieja na to, że można pokonać populizm.

 komentarz

HIPOKRYZJA W PROMOCJI



Ryszard Warta

Obłuda i hipokryzja – to niestety stałe, dobrze znane towarzyski różnego typu działań politycznych. Jednak forsowany i wprowadzony przez poprzednią władzę zakaz handlu w niedzielę szczególnie się pod tym względem wyróżniał. Dobrze pamiętam kwieciste wypowiedzi zwolenników zakazu o tym, że niedzielę należy „oddać rodzinom”, że dzięki zakazowi, będą one mogły być ze sobą, razem wyjść, spędzić ze sobą czas. I wspaniale, tylko że to znaczy, że ktoś będzie musiał pracować w niedzielę – w kawiarniach, restauracjach, w obiektach sportowych, kinach, placówkach kultury – wszędzie tam, gdzie miliony Polaków spędzają wolny czas.

Inny argument mówił o obronie małych osiedlowych sklepów, będących często rodzinnym interesem, które zakaz miał wspierać w ich nierównej walce z wielkopowierzchniową konkurencją. Skuteczność tego wsparcia widać gołym okiem – tak się składa, że te kilka lat obowiązywania zakazu niedzielnego handlu to jednocześnie okres gwałtownego zaniku tego typu drobnego handlu bezlitośnie wypieranego przez Żabki i sieci dyskontowe.

Problem z tym zakazem jest szerszy, bo w istocie nie chodzi o handel, ale o filozofię władzy, która uważa, że wie lepiej od obywatela, kiedy ten powinien robić zakupy, jak ma spędzać niedziele i w swym autorytarnym odruchu uważa, że można odpowiedni model na społeczeństwie wymusić.

Tymczasem obywatele swoje wiedzą i masowo korzystają z ofert sklepów, które na jeden dzień w tygodniu zamieniają się formalnie w placówki pocztowe, czy biblioteki – byleby przyjąć klientów. A cała ta maskarada dowodzi tylko tego, że otwarty w niedzielę sklep to odpowiedź na realne społeczne zapotrzebowanie.

 Sklepy. Polacy podzieleni w sprawie zakazu handlu w niedzielę

Żegnaj, osiedlowy sklepiku

Częściowy zakaz handlu obowiązuje w Polsce od sześciu lat. Przez ten okres zysk małych przedsiębiorców wcale się nie zwiększył, a takie były m.in. zamierzenia ustawodawcy.



Handel w niedzielę – także w tej sprawie Polacy są podzieleni.

foto. 123rf

Co więcej niektóre ze sklepów wielkopowierzchniowych zaczęły szukać luk prawnych, aby jednak móc handlować w niedzielę. Polacy – według raportu z badania „Polacy a handel w niedzielę” przeprowadzonego na zlecenie BIG InfoMonitor, są w tej kwestii nadal mocno podzieleni.

Dokładnie w 2007 roku uchwalono ustawę zakazującą handlu w święta i niektóre niedziele, ale dopiero 11 lat później Prawo i Sprawiedliwość dopięło tę kwestię do końca. W uzasadnieniu projektu podkreślano, że „przewaga sklepów wielkopowierzchniowych o kapitale zagranicznym nad placówkami rodzinnymi spowodowała znaczną deregulację usług handlowych”, a jednym z celów zakazu handlu w niedzielę i święta było wsparcie właśnie mniejszych, „rodzimych”, często „osiedlowych” sklepów. To jednak było myślenie życzeniowe, ponieważ ostatecznie małe sklepy nie zyskały w ogóle na zakazie handlu w niedzielę. Co więcej – setki z nich zniknęły z map miast. Potwierdzają to dane pracowni Dun&Bradstreet Poland. Wynika z nich, że przez pierwsze miesiące 2023 r. rynek sprzedaży detalicznej zmniejszył się o – rekordowe w perspektywie

ostatniego pięciolecia – przeszło 3 tys. lokalizacji.

W 2024 roku jedynie w 7 z 52 niedziel będzie można zrobić zakupy. Przed nami pozostały tylko cztery handlowe niedziele tj.: 30 czerwca, 25 sierpnia, 15 grudnia, 22 grudnia.

Jednak jak wynika z najnowszego badania polaryzacja wśród polskiego społeczeństwa odnośnie powrotu do status quo sprzed uchwalenia ustawy o zakazie handlu jest dość znacząca. Badanie „Polacy a handel w niedzielę” wykazało, że dla 18 proc. Polaków nie ma znaczenia, czy sklepy są otwarte siedem dni w tygodniu, czy tylko przez sześć dni. Zwolenników „rozwiązań totalnych”, czyli tych, którzy chcą całkowitego zakazu handlu w niedzielę, jest tyle samo co zwolenników pełnej swobody handlu w tym dniu – po 21 proc. Pozostałe 40 proc. respondentów opowiedziało się za handlem w wybrane niedziele, choć większość z nich uważa, że powinno ich być więcej niż obecnie (w 2024 r. jest ich siedem).

– Zdanie co do niedziel wolnych w handlu jest mocno polaryzujące także w sektorze MŚP. Nie brakuje

zwolenników każdego praktycznie wariantu, ale tylko 19,4 proc. badanych podzieli opinię o całkowitym zakazie i zamknięciu handlu we wszystkie niedziele. Większość jednak chciałaby powrotu handlowych niedziel, różny jest tylko zakres, z przewagą jednak głosów na wszystkie handlowe niedziele (18,8 proc.) – mówi Sławomir Grzelczak, prezes BIG InfoMonitor.

Jeśli chodzi o wpływ ograniczenia handlu na budżet i sposób robienia zakupów, 87 proc. ankietowanych stwierdziło, że wydaje na zakupy tyle samo co wcześniej. Wśród tych, którym wydatki wzrosły, co piąty respondent uzasadnił to częstszymi wizytami w restauracjach, wyjściami do kina, teatru lub na koncerty.

Przypomnijmy, że w Sejmie Polska 2050 złożyła pod koniec marca projekt uwolnienia dwóch niedziel handlowych. Zgodnie z projektem za pracę w niedzielę przysługiwałoby podwójne wynagrodzenie, a pracodawca miałby obowiązek wyznaczyć pracownikowi dzień wolny 6 dni przed albo 6 dni po dniu pracy w niedzielę.

Tomasz Wersocki

4,5 tys. PLN

tyle w przyszłym roku wynieść ma płaca minimalna brutto. Cytowani przez „Dziennik Gazetę Prawną” eksperci wyliczyli ją na podstawie wskaźników Wieloletniego Planu Finansowego Państwa na lata 2024-2027, który został przyjęty 30 kwietnia przez rząd.

▼ **Samorzady.** Co o gospodarce sądzą nowi władarze kujawsko-pomorskich miast?

Kim pan jest, panie prezydencie?

Zmiana. To pierwsze słowo, które przychodzi do głowy po ostatnich wyborach prezydentów miast w kujawsko-pomorskim. Mamy aż trzech nowych samorządowców na tym stanowisku - na pięć miast prezydenckich. A cała nowa trójka to praktycznie rówieśnicy - czterdziestolatkowie, mamy więc też w regionie wyraźną zmianę pokoleniową. Kim są nowi prezydenci?

Przypomnijmy, że z pięciu ludzi, zarządzających największymi ośrodkami regionu, dwóch „starych” prezydentów zostało wybranych w pierwszej turze. Rafał Bruski w Bydgoszczy z niewielką, ale bezpieczną przewagą, a Maciej Glamowski w Grudziądzu nokautując konkurentów. Rafał Bruski (61 lat) zdobył 53,5 proc. głosów, a Maciej Glamowski (53 lata) – aż 68,2 proc.

A nowi zwycięzcy? Jakie są ich pomysły na gospodarcze wyzwanie miast? W jakim kierunku będą się rozwijały ich ośrodki? Jak nowi prezydenci poradzą sobie z godzeniem sprzecznych interesów – na przykład w sprawie terenów inwestycyjnych?

TORUŃ – PAWEŁ GULEWSKI

Nowy prezydent Torunia, Paweł Gulewski, ma 43 lata i jest najmłodszym prezydentem spośród całej kujawsko-pomorskiej piątki samorządowców na tym stanowisku. To absolwent politologii na UMK. W wyborach na prezydenta miasta, w drugiej turze, dostał 39 093 głosy, czyli aż 65 proc. Jest członkiem Platformy Obywatelskiej, byłym wiceprezydentem Torunia w latach 2020 – 2024.

Do Torunia przeniósł się – jak podają media – z Podlasia, kiedy miał 8 lat. Działał w branży reklamowej, był na stażu w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku, pracował również w spółce FST Management, jako doradca zarządu. Jest jednak znany przede wszystkim z działalności politycznej i samorządowej. Do PO wstąpił już na studiach, pracował w biurze poselskim i senatorskim Jana Wyrowińskiego, był też szefem biura senatorskiego Przemysława Terminińskiego. Od 2010 roku sprawował przez kilka kadencji mandat toruńskiego radnego. Ma żonę Magdalenę i dwóch synów – Mikołaja i Jana.

Przed nim sporo trudnych decyzji, związanych chociażby z pozyskiwaniem terenów inwestycyjnych w mieście (a tych, zwłaszcza pod duże inwestycje, jak wiadomo brakuje) czy z drugiej strony „zasobów pracy”, w tym wysoko kwalifikowanej kadry. Co między innymi mówił na tematy rozwoju gospodarczego podczas kampanii (cytaty z debat wyborczych)?

– Musimy zacząć od lepszego dialogu i ściślejszej współpracy z przedsiębiorcami, dlatego utworzę radę ds. rozwoju, powołam pełnomocnika ds. rozwoju i zespół ds. rozwoju. Na pewno ważne jest uruchomienie nowych obszarów inwestycyjnych – wreszcie weźmiemy się na przykład za tereny wokół byłego Polchemu, tam mógłby powstać nowoczesny park przemysłowy dla naszego miasta. Trzeba też rozmawiać z aeroklubem, który ma miejskie tereny w dzierżawie. Musimy inwestować w przemysł kreatywny, znaleźć rozwiązania, by sprowadzić wielu specjalistów, z zakresu branży IT. Powinniśmy też budować nowe biurowce.

WŁOCŁAWEK – KRZYSZTOF KUKUCKI

Krzysztof Kukucki w październiku został wybrany na senatora RP, w wyborach samorządowych zaś zwyciężył w drugiej turze



Od lewej: Paweł Gulewski, Krzysztof Kukucki i Arkadiusz Fajok.

fot. profile facebookowe kandydatów na prezydentów

w wyborach na prezydenta Włocławka. Zdobył 14 460 głosów, czyli 56,28 proc. Jest członkiem Nowej Lewicy – i niewątpliwie nadzieją tej partii, po wygranej we Włocławku, również w skali kraju. Wcześniej był zastępcą prezydenta Włocławka, a po powstaniu rządu Donalda Tuska został sekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii.

Urodził się we Włocławku, ma 43 lata. Jest absolwentem politologii (UKW w Bydgoszczy). Ma trzech synów, prywatnie zaś sportowe zamiłowania – jest maratończykiem. Pracował w Urzędzie Miejskim we Włocławku, Miejskim Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej, a także w firmie Guala Closures DGS Poland – słynnej włocławskiej fabryce zakrętek Krzysztofa Grzędziela. Od 2010 roku był radnym Włocławka.

Przed Krzysztofem Kukuckim sporo problemów do rozwiązania, choćby z rewitalizacją śródmieścia, terenami inwestycyjnymi czy niekorzystnymi trendami demograficznymi. Co mówił podczas debat i wystąpień?

– Za absolutny cel powinniśmy stawiać sobie utworzenie Politechniki Włocławskiej. To wsparcie dla lokalnego przemysłu, jeśli chodzi o wysoko wykwalifikowaną kadrę, ale też przyciąganie do miasta młodych ludzi, którzy chcieliby tu studio-

wać. Mamy we Włocławku firmy, które rozwijają się w zakresie przemysłu 4.0, czyli automatyzacji procesów produkcji, należałoby więc przyciągnąć do Włocławka Instytut Łukasiewicza – jego filię. Duża szansa we Włocławku to outsourcing, przede wszystkim dla mieszkańek naszego miasta, które mogłyby pracować w zakresie usług księgowych czy HR.

INOWROCŁAW – ARKADIUSZ FAJOK

To zdecydowanie największa niespodzianka minionych wyborów samorządowych. Arkadiusz Fajok pokonał zarówno mocnych merytorycznie kandydatów strony liberalnej, jak i znanych polityków z drugiej strony politycznej barykady. Ma 44 lata, w drugiej turze zdobył 12 488 głosów, czyli 57 proc. Reprezentował Komitet Wyborczy Wyborców Arkadiusza Fajoka „Łączy nas Inowrocław”.

Arkadiusz Fajok to inowrocławianin, absolwent kierunku „wychowanie fizyczne”. Pracował w Zespole Szkół im. Marka Kotańskiego w Inowrocławiu, ale też z dziećmi i młodzieżą z niepełnosprawnościami. Był trenerem piłki ręcznej, a nawet pełnił funkcję trenera reprezentacji Polski w piłce ręcznej plażowej. Jak sam pisze, jest szczęśliwym mężem i ojcem trójki dzieci. Poza karierą pedagogiczną, realizuje się też w biznesie, w sekto-

rze MŚP – Od wielu lat prowadzi szkołę nauki jazdy.

Debata o rozwoju gospodarczym Inowrocławia była w czasie kampanii bardzo ciekawa – miasto łączy bowiem funkcję uzdrowiskową z funkcją przemysłową. Bardzo niedoinwestowane w czasach rządów PiS ma dziś wiele problemów do rozwiązania, a budując największe kontrowersje inwestycją jest budowa wielkiej spalarni odpadów. Co obecnie prezydent mówił podczas debat wyborczych?

– Czy jestem za umieszczeniem w Inowrocławiu spalarni śmieci? To największa spalarnia w Polsce i jedna z większych w Europie. To prywatna inwestycja, która nie wnosi niczego poza 1,5 mln zł podatku do budżetu Inowrocławia. Przyniesie miejsca pracy, ale najpierw zwolnienia w Ciechu. /.../ Obniżenie podatku od nieruchomości jest niezbędne, jeśli chcemy, żeby Inowrocław był atrakcyjnym miastem dla potencjalnych nowych inwestorów, którzy stworzą nowe miejsca pracy. A pracy w Inowrocławiu bardzo brakuje /.../ Trzeba zacząć współpracować choćby z gminą Inowrocław, co pozwoli stworzyć duży obszar strefy gospodarczej. Druga strefa ekonomiczna mogłaby powstać w centrum miasta – przy współpracy z właścicielami kamienic.

Mariusz Załuski ▲

Z sercem do ludzi

Organizacja charytatywna Serce Torunia działa od października 2021 roku. Zaczynali od klasycznego streetworkingu. Pomagali osobom w kryzysie bezdomności bezpośrednio na ulicy. Stopniowo ich działalność stawała się coraz bardziej zorganizowana. Dzięki miastu mają swoją siedzibę, gdzie jest m.in. punkt medyczny, łaźnia, pralnia, jadalnia, magazyn odzieżowy. Do pomocy są też medycy, psychologowie i prawnicy. Teraz udało się kupić ambulans.

O Sercu Torunia rozmawiamy z wolontariuszami tego stowarzyszenia: psycholożką Zuzanną Józefowicz i odpowiadającym za sprawy medyczne Robertem „Sauronem” Majewskim.

Jestem pod ogromnym wrażeniem. W ciągu dwóch lat z niczego powstało coś wielkiego. Od pracy na ulicy od praktycznie zera do organizacji dysponującej transportem medycznym.

Jeśli chodzi o ambulans, to musimy dwie rzeczy oddzielić – mówi Robert Majewski. Jest Stowarzyszenie Serce Torunia i jest Fundacja Bezpieczni.eu. Fundacja Bezpieczni.eu koordynuje działania medyczne w Sercu Torunia i to właśnie ona dzięki sponsorom kupiła ambulans. Fundacja organizuje co roku sympozjum poświęcone bezpieczeństwu w ruchu drogowym. Wspomaga to wydarzenie marszałek województwa, prezydenci i burmistrzowie miast. Tegoroczna edycja odbędzie się we Włocławku. Moi przyjaciele z Kędzierzyna-Koźła biorący udział w sympozjum wzięli na siebie część kosztów zakupu, przeglądu i napraw karetki. Musimy mieć świadomość, że teraz kupienie ambulansu używanego to spory problem i koszt. Ceny poszła w górę, ponieważ obok nas mamy wojnę. Jest tam bardzo duża potrzeba takich pojazdów. Wykupowane są samochody używane ze szpitali czy stacji pogotowia ratunkowego. Wiadomo, gdy jest popyt, to cena wzrasta. Udało nam się ambulans kupić, niespodziewanie wycofał się jeden ze sponsorów. Mam fakturę

z przedłużonym terminem płatności, ale jeszcze trzeba zapłacić te 39 tysięcy. Pomysł jest taki, że jest dużo miejsc na samochodzie, gdzie możemy umieścić loga firm naszych sponsorów i partnerów, którzy chcieliby pomóc. Kiedy go już opłacimy ambulans i będziemy mieli ten temat zamknięty, to chcielibyśmy zrobić rzutkę, żeby go wyposażyć. Opatrywanie kogoś w śniegu, w deszczu, w mrozie, w brudzie między śmietnikami pod wiatą pokazało, jak ważny jest ten pojazd. Ambulans staje się

Oni latami żyją poza społeczeństwem. Zapomnieli zasad współżycia. Musimy ich od podstaw uczyć reguł: do urzędu idziesz trzeźwy, w tramwaju kasujesz bilet i nie krzyczysz... My to wiemy, oni muszą sobie to przypomnieć. Musisz pamiętać, że ci ludzie żyją przez lata w kompletnym braku poczucia bezpieczeństwa. My się nie zastanawiamy, gdzie będziemy spać, a oni mają to codziennie.

mobilnym ambulatorium: miejscem, gdzie jest ciepło i jasno, gdzie możemy opatrywać, przebadać, porozmawiać. Jest też możliwość przewiezienia np. do szpitala czy ośrodka w pozycji siedzącej, czy leżącej. Tam się zmieści wózek inwalidzki, łóżko, nosze. Ceny są wyposażenia są ogromne. Same nosze w tym ambulansie kosztują 30 tysięcy złotych.



– Jeżeli chcecie wesprzeć zakup ambulansu, to kontaktować można się mailowo: robert@bezpieczni.eu – zachęca Robert Sauron Majewski.

Skoro rozmawiamy o pieniądzach, to skąd je bierzecie na działalność? Samym wolontariatem się tego przecież nie ogarnie.

Ale my tak właśnie robimy – mówi Zuzanna Józefowicz. Serce Torunia jest takim genialnym przykładem inicjatywy oddolnej. To jest wprowadzenie w życie idei społeczeństwa obywatelskiego. Nas łączy to, że naprawdę widzimy potrzebę działania. Są to ludzie z różnych środowisk. Daje to fajną mieszankę pomysłów, innego spojrzenia na tę samą sprawę. Cała działalność Serca Torunia opiera się na wolontariuszach. Nikt z nas nie dostaje pieniędzy. Każda z tych osób ma swoją motywację. Nie pytamy, dlaczego z nami jest, czy jest bogaty, czy jest biedny. Ważne, że jest z nami. Swoją czas zabiera rodzinie i daje nam, i przede wszystkim daje go podopiecznym. Im więcej ludzi, tym łatwiej pewne rzeczy zrobić. Mamy też ogromne wsparcie od ludzi. W zeszłym miesiącu dostaliśmy rachunek za prąd, który by nas przewrócił. Pomogli ludzie, którzy wpłacali pieniądze na zrzutce. Umiemy się rzucić z motyką na słońce, „bo tak trzeba”, a potem myślimy, jak sobie z tym poradzić i jak to sfinansować. Przykładem jest wykupienie lekarstw, bo podopieczni nie mają na to pieniędzy. Zresztą problemy są już wcześniej, bo musimy pomóc im ubezpieczyć się. A to wymaga dowodu osobistego. A żeby wyrobić dowód to trzeba mieć zdjęcie i wypisać druk. Więc kierujemy ich do zaprzyjaźnionego zakładu fotograficznego na zdjęcie. Jak z nim przychodzi, to pomagamy wypełnić druk, bo wielu z naszych podopiecznych ma z pisaniem spory problem. Potem pomagamy im w urzędzie. Z dowodem nasz podopieczny może iść do MOPR, gdzie go ubezpieczą. Gdy wreszcie trafi do lekarza, to nie ma pieniędzy na wykupienie recept. Wtedy musimy pomóc my, a nikt nam za darmo tych leków nie da. Kontakt z urzędnikiem i lekarzem to szerszy problem. Mamy świadomość postrzegania tych ludzi w urzędach albo przychodniach. Bo nieprzyjemnie pachną, bo są brudni, bardzo często chorzy lub „pod wpływem”. Ludzie się ich boją.



„Ambulans staje się mobilnym ambulatorium: miejscem, gdzie jest ciepło i jasno, gdzie możemy opatrzeć, przebadać, porozmawiać”.

fot. nadesłane

Rozumiemy, że ciężko się przelamać, żeby z taką osobą miło, serdecznie i uprzejmie rozmawiać, ale to jest nadal człowiek. Z drugiej strony oni wyczuwają to nastawienie i sami się wtedy nie zachowują fajnie. To jest taka samo nakręcająca się spirala.

Rozumiemy, że ciężko się przelamać, żeby z taką osobą miło, serdecznie i uprzejmie rozmawiać, ale to jest nadal człowiek. Z drugiej strony oni wyczuwają to nastawienie i sami się wtedy nie zachowują fajnie. To jest taka samo nakręcająca się spirala. Nam się udaje tę spiralę przerwać, bo mamy cudowną streetworkerkę, która idzie z tymi ludźmi i jest takim buforem, tłumaczem i pośrednikiem. I takich streetworkerów bardzo potrzebujemy. Trzeba też mieć świadomość, że aby wysłać kogoś na terapię, musimy dla niego mieć skierowanie od lekarza. Później obdzwonić ośrodki i zobaczyć gdzie i w jakim ter-

minie jest miejsce. Podopieczny musi być trzeźwy, czysty, zdecydowany, mieć wyprawkę i dotrzeć na wyznaczony czas do ośrodka. Jest to długotrwała procedura, której ciężar odczuwamy, a dla naszych podopiecznych byłaby nie do przejścia bez wsparcia.

Zresztą wiele procedur jest długotrwałych – dodaje Robert. Dobrym przykładem bezradności jest pewna para, która trafiła do Sercowni. Pamiętam to do dziś, jak pani na łóżku w naszym punkcie medycznym płakała, że nie ma już siły mieszkać na Dworcu Miasto. Pracowaliśmy nad nimi. Przeszli detoks osobno, później terapię, bo takie są przepisy. Byli w naszym mieszkaniu treningowym, a w tej chwili mieszkają w swoim mieszkaniu. Okazało się, że ta pani ponad siedem lat temu złożyła podanie o mieszkanie komunalne, ale nie była w stanie nic samej załatwić. W międzyczasie trafili na ulicę, a z niej do nas. Po siedmiu latach wreszcie mieszkanie jest, tylko trzeba jeszcze coś podpisać, załatwić, pochodzić. Trwało to trzy albo cztery miesiące, ale mieszkanie jest. Ludzie nie piją i żyją normalnie. Gdyby nie Serce Torunia, to sam sobie dopowiedz, co by z nimi było.

Nie ma takich mieszkań przejściowych?

Nie ma. A dokładniej jest za mało. Osoba, która na przykład wychodzi z ośrodka terapii uzależnień, jest pozostawiona przez system sama sobie. Wyobraź sobie, że wychodzisz za Świecia i nie masz dachu nad głową, pracy i pieniędzy. Mamy teraz osiem osób, które wychodzą z bezdomności. Potrzebny jest detoks, odwyk, terapia, masa dokumentów i przede wszystkim mieszkanie przejściowe w czasie przygotowania do terapii i po niej. Znalezienie mieszkania treningowego jest bardzo trudne. Mamy przyjaciół, którzy przyjmą piątkę. Potrzeba jeszcze trzech miejsc. Wyobraź sobie, że jesteś rezydentem noclegowni. To oznacza, że cały dzień musisz się gdzieś tułać. Masz gdzie spać, ale cały dzień jesteś na dworze. Teraz jest fajnie, ale latem będzie upał, a zimą mróz. Nie masz pieniędzy, nie można się umyć i odświeżyć. To jest cynizm, bo z jednej strony systemowo wypychamy ich na ulicę, a z drugiej na pewno nie chcemy tych wszystkich bezdomnych wpuścić do centrum miasta turystycznego.

Jak już nakarmicie, umyjecie, ubierzecie, to spełnicie

podstawowe potrzeby. Wtedy taka uzależniona osoba będzie poszukiwała tylko alkoholu, bo to jest jej pierwsza potrzeba.

Pierwsza potrzeba to rozmowa – stanowczo przerywa mi Zuzanna. Oni na alkoholu przychodzą do nas, żeby się nie wstydzić poprosić o pomoc. To jest bardzo specyficzne środowisko. Ktoś porównał ich do stada wróbli. Niby są razem, ale bardzo płochliwi. Każdy osobno, ale starają się trzymać razem. Jak się pojawia większy kawałek chleba, to się kłócą między sobą, bardzo. Jak przychodzi ktoś nowy, kto nie zna Serca i środowiska, od razu to widać. Nie wie jak wejść i się zachować. Jest bardzo spłoszony i my staramy się go złapać. Złapać to znaczy pytać. Co słychać? Byłeś już u nas? Coś ci pomóc? Wierzimy w taką osobę. Bierzemy ją pod nasze skrzydła. Tu jest łazienka, tu jest pralka. Wydawanie ubrań mamy raz w tygodniu, ale jak się umyjesz, to damy ci czyste ubrania, bo jaki jest sens ubierać coś brudnego. Możesz u nas bezpiecznie zostawić te ubrania, a jak przyjdiesz następnym razem, to je odbierzesz wyprane. Zjesz coś? Napijesz się czegoś? Tu jest kawa, tu jest herbata. A w ogóle jak masz na imię? Niektóre oso-

by odpowiedzą od razu, a niektóre będą unikały. To nawiązanie relacji, złapanie do rozmowy, pokazanie, że widzimy w nim człowieka, powoduje, że oni wracają. A jak wróca, to będą kolejne dwa słowa. A jak będą kolejne dwa słowa, to pojawi się przestrzeń na zadanie pytania. Tak powoli słowo po słowie zaczyna się chemia między nami. Jedni się otworzą, inni nie. Wynikiem takiej pracy jest teraz te osiem osób na detoksykacji. Czy wytrwają? Nie wiem, ale mają szansę się zmienić. To wszystko się zaczęło od tego, że poczuli się u nas bezpieczni. To podstawa psychologii, czyli piramida Maslova. Najpierw życie, a potem pojawia się chęć na coś więcej. Wtedy pojawia się przestrzeń dla nas.

Taki powrót jest trudny?

Bardzo. Oni latami żyją poza społeczeństwem. Zapomnieli zasad współżycia. Musimy ich od podstaw uczyć reguł: do urzędu idziesz trzeźwy, w tramwaju kasujesz bilet i nie krzyczysz... My to wiemy, oni muszą sobie to przypomnieć. Musisz pamiętać, że ci ludzie żyją przez lata w kompletnym braku poczucia bezpieczeństwa. My się nie zastanawiamy, gdzie będziemy spać, a oni mają to codziennie.

Tu ci wejdę w słowo - *wtrąca się Robert*. - Nawet jak masz, gdzie spać, to jaką masz gwarancję, że nic ci się nie stanie, że cię ktoś na przykład nie pobije albo podpali? Mieliliśmy wiele takich przypadków. Ten człowiek nie może normalnie zasnąć. Wiesz, lubimy sobie w weekend pojechać do jakiejś szkoły przetrwania, żeby dostać trochę adrenaliny. Oni survival mają codziennie. Pokreślę, że codziennie walczą o bezpieczeństwo. Wytrzymałbyś? Taki smutny przykład. Krysia była kilkanaście lat na ulicy na starówce w Toruniu. Bardzo podeszły wiek, schorowana. Na zimę dostała się do jakiegoś ośrodka. Kiedy poczuła łóżko, ciepło, no i przede wszystkim bezpieczeństwo, wtedy jej organizm odpuścił tę walkę. Umarła, ale w takim komforcie bezpieczeństwa.

Mówiliście o braku mieszkań tymczasowych. Czego jeszcze brakuje w Toruniu?

Ogrzewalni. Są w mniejszych miejscowościach, a u nas nie ma. To by załatwiło nam sprawę bezdomnych śpiących na klatkach schodowych. Jest to spory problem, bo to zapachy, odchody, robaczki. Mieszkańcy bloków się burzą i im się nie dziwię. Kolejny problem to brak miejsc dla kobiet. Jak kobieta ląduje w Toruniu na ulicy, to nie ma gdzie iść, bo nie ma schroniska ani noclegowni dla kobiet.

To są przecież ludzie, więc pojawiają się też miłości - *dodaje Zuzanna Józefowicz*. W Polsce wszystko jest tak skonstruowane, ośrodki, odwyki, że nie ma miejsca dla par. Muszą się rozdzielić, a chcieliby się przecież nawzajem wspierać.

Ludzie też mają psy i traktują je często dużo lepiej niż samych siebie - *wtrąca Robert*. Dadzą najpierw psu jedzenie, a potem szukają dla siebie. Te psy bardzo często ich trzymają na powierzchni. Gdy idą do ośrodka, to nie mogą ich zabrać. Czasem nie pójdą na terapię, bo mają psa, którym się muszą zająć. Możesz ich obrażać, ale jak spojrzysz krzywo na psa,

Nawet jak masz, gdzie spać, to jaką masz gwarancję, że nic ci się nie stanie, że cię ktoś na przykład nie pobije albo podpali? Lubimy sobie w weekend pojechać do jakiejś szkoły przetrwania, żeby dostać trochę adrenaliny. Oni survival mają codziennie.

to nie ma przebaczenia. Szukamy dla tych zwierząt domów tymczasowych bądź adopcji. Tu ogromny ukłon do pracowników naszego Schroniska dla Zwierząt, które pomaga nam w opiece nad tymi zwierzętami. Współpracujemy na wielu płaszczyznach od lat. Dostajemy na przykład od nich karmę, którą rozdajemy na naszych patrolach. Mamy taką panią na działkach, której dajemy karmę dla jej dwudziestu kotów, bo to dla niej cały świat.



Nie ma jednej drogi prowadzącej do utraty domu, wsparcia rodziny i stabilnego źródła utrzymania. Przyczyny i okoliczności, w których człowiek wchodzi w kryzys bezdomności mogą być bardzo różne.

fot. 123rf

Ilu w tej chwili macie podopiecznych? Ilu przychodzi do Sercowni?

To zależy między innymi od pory roku. Średnia to powyżej 70 osób, ale na wigilii było ze 140. Ciągłe pojawiają się nowe twarze. Przedział wiekowy jest zaskakujący. Przeróżające jest to, że przychodzą takie starsze nastolatki. Najwięcej jest takich czterdziesto-, pięćdziesięciolatków, którym coś nie wyszło w życiu.

Bezdomnym można stać się po trzech niezapłaconych ratach kredytu - *dodaje Robert Majewski*. Wystarczy być honorowym i z reklamówką wyjść z domu. U jednego kumpla albo koleżanki nocujemy kilka dni, potem u drugiego, trzeciego. W końcu powiedzą: stary ogarnij się i ładujesz na ulicy.

Co do liczby, to jest to skomplikowane - *precyzuje Zuzanna Józefowicz*. Są różne systemy liczenia bezdomnych. Nasze i odgórne. One się bardzo różnią. Myślę, że wynik takiego oficjalnego liczenia można pomnożyć przez cztery, może nawet pięć. Dlaczego tak się dzieje? Oficjalnie zakłada się, że jak mieszkasz w jakimś pustostanie i masz chociaż jedno medium, to nie jesteś bezdomny. Podciągniesz sobie kradziony prąd od sąsiada do swojego bunkra i już nie jesteś liczony. Rozumiesz to? Mieszkasz na działkach, a tam jest woda albo u kumpla nocujesz. Dla sys-

temu masz gdzie mieszkać. Nie wchodzisz do statystyk.

Już wiem, że w Toruniu brakuje ogrzewalni. Czego jeszcze?

Zrozumienia i słuchania tego, co mówią praktycy ulicy i dostosowywania do tego przepisów. To jest oczywiście szerszy problem niż miejski. Urzędnicy muszą przestać uważać, że jak są przepisy, to ulica się dostosuje. Powinni przepisy dostosować do ulicy. Od miasta mamy siedzibę Sercowni na preferencyjnych warunkach, a to jest wielka sprawa. Dostaliśmy takie pomieszczenie, które sobie ogromnym nakładem pracy zaadaptowaliśmy do naszych potrzeb. Z jednej wielkiej hali zrobiliśmy coś fajnego. Wytworzyła się taka atmosfera, że wchodzisz tam uśmiechnięty i wychodzisz uśmiechnięty. Bardzo ważne jest to, że wspólnie pracujemy nad toruńskim modelem wychodzenia z bezdomności. Zaangażowanych jest wiele instytucji: od miasta po organizacje pozarządowe. Co z tego wyjdzie, zobaczymy. Urząd jest instytucją pracującą od do, a ulica żyje 24 godziny na dobę. My jesteśmy jak niepokorne dziecko. Gdy słyszemy, że czegoś się nie da, bo takie są przepisy, to my mamy w sobie tę siłę i odwagę, żeby powiedzieć: naprawdę nie da się? To zmieńcie przepisy. My nie czekamy na to, aż miasto będzie nas

zauważać i wspierać. Działamy my, Coffee House, pan Tomasz Jurkiewicz, kierownik Miejskiego Schroniska dla Bezdomnych Mężczyzn. Mamy nadzieję, że miasto będzie nas trochę słuchać. Z pracownikami miejskimi działającymi w terenie rozmawiamy i współpracuje nam się świetnie, bo oni pracują bezpośrednio z potrzebującymi, ale decyzje zapadają wyżej. Chodzi o to, żeby zaczęli nas słuchać i traktować nie jako bandę postrzeleńców, którą może nawet jesteśmy, ale jako kogoś, kto jest najbardziej zorientowany w temacie. Taki przykład przepisów, które wiążą nam ręce. Pracują u nas wolontariusze medycyjni, ale nie może jednak jako wolontariusz przyjmować u nas lekarz. Dlaczego? Według przepisów straciłby wtedy uprawnienia do wykonywania zawodu. Rozumiesz to? Za pomoc ludziom straciłby prawo do bycia lekarzem!

Cały czas w Sercowni zmieniamy nasz system pracy, swoje podejście - *dodaje Robert Majewski*. Zarzuca się, że dajemy tym ludziom rybę, a nie dajemy wędkę, jednak po wielu spotkaniach w Polsce z takimi jak my opiekunami, dochodzimy do wniosku, że to powinien zmienić się system rybołówstwa w kraju.

Dziękuję z rozmową.

rozmawiał **Paweł Jankowski** 

▼ **Fakturowanie.** Resort finansów ogłosił ostateczne terminy wprowadzenia KSeF

Obowiązkowe e-faktury od 2026

„Prace nad Krajowym System e-Faktur rozpoczęły się w roku 2020, cztery lata temu. Jeszcze w grudniu nasi poprzednicy zapewniali mnie, że system jest gotowy i będzie gotowy do wdrożenia od lipca 2024. Dziś po przeanalizowaniu wyników audytu wiemy, że jednym z powodów obecnej, w mojej ocenie krytycznej sytuacji, jest brak należytego nadzoru kierownictwa nad tym projektem. 350 stron raportu z audytu nie pozostawia żadnych złudzeń, że groził nam paraliż polskiej gospodarki.”

Tak minister finansów Andrzej Domański tłumaczył pod koniec kwietnia konieczność przesunięcia terminu wprowadzenia obowiązku korzystania z Krajowego Systemu e-Faktur.

Jeszcze w styczniu szef resortu finansów zapowiedział, że termin uruchomienia obowiązkowego KSeF podany zostanie na przełomie kwietnia i maja, po przeprowadzeniu audytu. I rzeczywiście, w piątek, 26 kwietnia, te daty padły.

Z dniem 1 lutego 2026 roku obligatoryjny KSeF wdrożony zostanie dla podmiotów, których wartość sprzedaży w poprzedzającym roku podatkowym przekroczyła kwotę 200 milionów złotych. Natomiast od 1 kwietnia 2026 obligatoryjny KSeF wprowadzony będzie dla wszystkich przedsiębiorców – poinformował minister Andrzej Domański.

BŁĄD NA BŁĘDZIE

Duża część briefingu w MF poświęcona była wynikom audytu KSeF w tym kształcie, który odziedziczony został po rządzie Mateusza Morawieckiego i który miał być wprowadzony już w tym roku. Audyt – jak podkreślał minister Domański – przeprowadzony został przez niezależnych ekspertów. Jego wynik jest druzgocący.

Testy systemu nawet nie zbliżyły się do oczekiwanych wydajności.

Raport zawiera kilkaset informacji o różnego typu błędach.

ANDRZEJ DOMAŃSKI,
MINISTER FINANSÓW

– Testy systemu nawet nie zbliżyły się do oczekiwanych wydajności. Raport zawiera kilkaset informacji o różnego typu błędach – wyliczał Andrzej Domański.

– Źle zaprojektowana została cała architektura systemowa. Musi być ona stworzona zupełnie od nowa – dodawał Marcin Łoboda, wiceminister finansów i szef Krajowej Administracji Skarbowej.

Resort finansów zapowiada, że Urzędy Skarbowe organizować będą szkolenia dla przedsiębiorców dotyczące KSeF, w styczniu 2025 wystartować ma specjalna infolinia.

Minister Domański dodał także, że proces konsultacji systemu, w którym – jak wylicza MF – uczestniczyło już do tej pory 10 tys. osób – będzie kontynuowany.

KSIĘGOWI OSTRZEGAJĄ

Przypomnijmy, że plany wprowadzenie obowiązku korzystania z KSeF budzi wiele kontrowersji. Już w kilka dni po zaprzysiężeniu nowego rządu, 19 grudnia, z ob-



Na zdjęciu minister finansów Andrzej Domański.

fot. gov.pl

szernym listem do MF wystąpiło Biuro Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców. Nieco później, 5 stycznia 2024 swoje pismo do resortu finansów przesłał prof. Stanisław Hońko, prezes Stowarzyszenia Księgowych w Polsce. Konkluzje obu tych listów są podobne: zasady wprowadzające obowiązkowe e-faktury są niedopracowane, przepisy niejasne, przedsiębiorcy narażeni są dodatkowe koszty i generalnie – przy zgodzie co do tego, że docelowo e-faktury muszą być wprowadzone – najlepiej byłoby rzecz całą jeszcze raz przemyśleć, błędy usunąć a terminy przesunąć.

W podpisanym przez dr. Marka Wocha, zastępcę Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorstw przeczytać można m.in. że przedsiębiorcy wskazują na wysokie koszty związane z wdrożeniem

KSeF w obecnym kształcie będzie najbardziej dotkliwy dla licznego grona najmniejszych podatników, dotkniętych najmocniej przez zmiany podatkowe tzw. Polskiego Ładu.

PROF. STANISŁAW HOŃKO,
SKWP

KSeF i brak przygotowania do obligatoryjnego korzystania z niego. Rzecznik powołuje się na szacunki, według których w małych i średnich firmach te koszty wynosić mogą od 0,5 do 2 tys. zł.

Z kolei Prof. Stanisław Hońko, prezes Stowarzyszenia Księgowych w Polsce podkreślał, m.in.: „SKWP zgłaszało liczne zastrzeżenia do projektowanych przepisów od początku procesu legislacyjnego. Brakowało jednak zrozumienia przez drugą stronę dla argumentów zgłaszanych przez środowisko zawodowe zajmujące się prowadzeniem ksiąg podatkowych i rozliczeniami podatkowymi (...) KSeF w obecnym kształcie będzie najbardziej dotkliwy dla licznego grona najmniejszych podatników, w tym mikroprzedsiębiorców, dotkniętych w ostatnich latach najmocniej przez zmiany podatkowe tzw. Polskiego Ładu oraz niekorzystne zasady rozliczania składek na ubezpieczenie zdrowotne”.

Ryszard Warta ▲

Wiele książek kryminalnych jest źle napisanych. Albo niepotrzebnych

➤ **Z Pawłem Marszałkiem, właścicielem wydawnictwa C&T z Torunia, w którym ukazało się już blisko 750 książek – o plusach i minusach biznesu wydawniczego w Polsce rozmawia Mariusz Załuski. To kolejna z cyklu naszych rozmów prezentujących różnorodność sektora MŚP.**

Chyba to będzie optymistyczna rozmowa... Niedawno opublikowano raport wyników czytelnictwa książek w Polsce – okazuje się, że wreszcie zaczęło ono rosnąć. 43 procent badanych zadeklarowało, że w minionym roku przeczytało co najmniej jedną książkę. To najwięcej od 10 lat.

Z tym optymizmem, to tak do końca bym nie szalał.

Bo to tak naprawdę deklaracje?

Raz, że to deklaracje, dwa, że z tego raportu wynika też, że więcej niż 7 książek rocznie czyta już znacznie mniej osób.

8 procent.

I skupmy się na tej grupie, bo szczerze mówiąc dla rynku znaczenie ma właśnie tylko te 8 procent. Na szczęście dzięki tym czytelnikom książki wciąż są i będą czytane. Natomiast jeśli ta grupa zacznie maleć, to robi się problem. Oczywiście zawsze liczy się na nowe grupy, które wycho-
dzą od modnych i popularnych

książek, jak na przykład „Rodzina Monet” i potem – jest nadzieja – sięgają po inne. I takie wariacje odnośnie czytelnictwa się zdarzają. Najlepszy przykład to chyba seria „Harry Potter”.

Rzeczywiście zapanowała wtedy euforia, tyle że to było ćwierć wieku temu.

Tak, euforia, że dzieci czytają, że przyszła fala, ba, prawie tsunami z tymi książkami, że kolejki się ustawiają... I po tej fali nic nie nastąpiło. To pokolenie dorosło i okazało się, że osób regularnie czytających zostało niewiele. Jesteśmy u nas ciągle na tym samym poziomie. Porównanie się z innymi krajami nie zawsze świadczy o tym, że oni mają rację albo my mamy rację, ale choćby Czesi, Francuzi, czy Niemcy czytają znacznie więcej od nas.

Jechało się na przykład do Wrocławia, w którym było tych hurtowni kilkanaście, w jednym miesiącu zostawiało się towar w jednej hurtowni, za miesiąc jechało się znowu i nie było już ani hurtowni, ani towaru... To były klasyczne lata 90.

Zacznijmy od początku. Jest 1990 rok, zakłada pan wydawnictwo. Jak się zostaje wydawcą literatury popularnej w Toruniu?

Wieloma rzeczami w życiu rządzi przypadek. Dla mnie tym przypadkiem był mój kolega Andrzej Zasieczny, wydawca, który przyjechał na spotkanie do Torunia, kiedy w domu kultury „Centrum” prowadziłem „Klub Dobrego Kryminału”. „Spiknęliśmy” się wtedy i postanowiliśmy



„Wydałem 734 książki. Dojdę na pewno do 750. Dalej zobaczymy”.



– Choćby Czesi, Francuzi, czy Niemcy czytają znacznie więcej od nas – podkreśla Paweł Marszałek.

fot. 123rf

założyć spółkę. Przez półtora roku ta spółka została doprowadzona prawie do bankructwa... Ale takie to były czasy. Zaczęliśmy generalnie od kryminałów, między innymi Jamesa Hadleya Chase'a, twórcy takich mądrzejszych produkcyjniaków, więc z jego twórczości było co wybierać. To była też próba pokazania czytelnikom czegoś nieznanego. Na rynku działali wtedy już ci wielcy – legendarny Amber czy Rebis. Oni byli wielcy, a ja byłem mały. No i wielcy dalej są wielcy, a ja dalej zostałem tym małym, czyli niszowym.

A jaka była ta dokładnie pierwsza książka?

To nie był kryminał, co ciekawe, ale tomik poezji śpiewanej Tomka Olszewskiego „Zapiski z podróży”. Zresztą potem poezja przeżywa się w mojej działalności cały czas. Na początku prawie doprowadziła mnie do bankructwa, ale później z w trudnych, kryzysowych momentach, zawsze mnie rynkowo ratowała.

Serwis lubimyczytac.pl wymienia 673 książki pana wydawnictwa. Tyle ich pan wydał czy coś pominęli?

Chyba nie mają wszystkich danych. Wydałem 734 książki. Dojdę na pewno do 750. Dalej zobaczymy.

Kiedy w ciągu tych 34 lat działalności było najtrudniej takim wydawcy jak pan, który co prawda dużo wydaje, ale nie jest gigantem na rynku? A kiedy było najprościej?

Najprościej? To był chyba początek lat 2000. Wtedy jeszcze hurtownie książek istniały w większej liczbie, choć rynek już się uporządkował. Te mniejsze oczywiście zbankrutowały. To już nie były te czasy, kiedy jechało się na przykład do Wrocławia, w którym było tych hurtowni kilkanaście, w jednym miesiącu zostawiało się towar w jednej hurtowni, za miesiąc jechało się znowu i nie było już ani hurtowni, ani towaru... To były klasyczne lata 90.

W latach 2000 kilka hurtowni „zmeźniało”. Matras miał księgarnie, inne hurtownie miały z kolei dobry kontakt z bibliotekami, które dużo kupowały. A poza tym ludzi i było stać na książki, i jeszcze chciało im się w nich „grzebać”. Pojawiało się też dużo ciekawych zjawisk, może już nieco przejrzałych na przykład na rynku amerykańskim, ale u nas dopiero publikowanych. Było więc co wydawać i ludzie chcieli to kupować.

Ale to się skończyło.

W 2007 – 2008 nastąpił krach w USA i niestety również odbiło się to na książce. Od 2011 mieli-

śmy już poważny kryzys rynku, jeśli chodzi o wydawaną w Polsce książkę „światową”. Natomiast wtedy nastąpiło coś ciekawego....

Wysyp polskich książek.

Tak, dokładnie. Zaczął się prawdziwy boom.

Gdzieś ostatnio czytałem, że kiedyś wydawano 20 polskich kryminałów rocznie, a dziś wydaje się około 200... Ilość przeszła w jakość?

Kompletnie nie. Raczej idzie to w drugą stronę. Kiedyś maniaczko kupowałem polskich autorów, żeby sprawdzić, w którą stronę to zmierza, ale tyle razy się zawiodłem, że w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu, bo gros tego wszystkiego to zupełnie nieporozumienie. Oczywiście pojawiło się kilku bardzo ciekawych – według mnie – autorów: Grzegorz Kapla, Bartłomiej Rychter, Piotr Górski czy Tomasz Hildebrandt.

A dlaczego się pan zawiodł?

Błędy rzeczowe, interpunkcyjne, literówki, generalnie skandaliczne jak dla mnie błędy językowe... Widać, że nikt nie zrobił prawdziwej redakcji, aż się odechciewa czytać. To pierwszy próg. Drugi to samo prowadzenie akcji – wyprowadzenie jej,

Przy sprzedaży mam jednak taką filozofię, że nie muszę na tej książce dużo zarobić, ale chcę, żeby ją ktoś kupił. Chcę najtaniej, jak się da, ją zrobić i najtaniej, jak się da, sprzedać.

zrobienie pointy, bywało często bardzo marne. Nie chcę się wyżywać choćby na lokalnych autorach, bo to nie ma sensu. Nawet tym, którzy pisali milicyjne kryminały w czasach PRL, lepiej to często wychodziło.

No to czasami byli zawodowi pisarze...

Trochę tak, to często byli pisarze, którzy popełniali kryminał przy okazji. Ale te kryminały miały jeden podstawowy plus. Nie miały niepotrzebnych opisów, masy zdań, które nic nie wnoszą...

No bo podobno książka musi być dziś gruba. Jaki klient chciałby płacić za chudą.

Ważnie. Tamte książki miały średnio około 200 stron, u Rossa Macdonalda to też około 200 stron, u Chase'a 150. „Chandle-

ry” też nie były za grube. Jeśli sięgniemy po klasyków. Dzisiaj kryminał, nie tylko polski, ale też na przykład szwedzki, musi być gruby.

Głośno było swego czasu o wydawaniu na grubym papierze, żeby książka „utyła”.

Tak, choć za gruby papier to akurat chwala, bo on jest dużo lepszy dla czytelnika. Ale wracając do tematu – grubość tych książek spowodowała, że wiele z nich jest źle napisanych. A czasami, niepotrzebnie napisanych. Są też trochę naiwne. Nie oczekuję oczywiście strumienia świadomości czy Virginii Woolf, ale jakiś sens to powinno mieć. Tak jak Ciechowski śpiewał o tym, że ta piosenka jest pisana dla pieniędzy, tak większość tych książek jest pisana albo dla pieniędzy, których i tak z tego nie będzie, ale dla sławy, której też nigdy nie będzie.

Potem zresztą pojawiają się oskarżenia wobec wydawców – że to wydali i nie sprzedali. Albo – i tu już są teorie spiskowe – sprzedali, ale ja na tym nie zarobiłem. I jak nie zarobiłem, to co robię? Zakładam własną firmę, bo ja sam, to sprzedam. A potem jest konsternacja.

Jaka jest dzisiaj na rynku sytuacja takiego wydaw-

nictwa jak pana – mimo imponującej liczby książek niszwowego – na mocno już zorganizowanym rynku? Bo dla laika jest Empik, jest Świat Książki i tyle...

Jeśli chodzi o rynek hurtowy, to wygląda to troszeczkę inaczej. Ważny jest jeszcze na przykład Platon, który oddaje książki Empikowi i intensywnie zaopatruje biblioteki oraz kilka dużych hurtowni.

A pan z kim pracuje?

Obecnie pracuję z jedną firmą na zasadzie wyłączności. Doszedłem do ściany, czy może raczej do zmęczenia materiału. Jeszcze przed pandemią dostałem ofertę wyłączności z firmy Azymut – powiązanej z PWN – i skorzystałem. Ale ma pan rację, zwykły czytelnik wchodzi do Empiku, do Świata Książki, albo i do internetu. Moich książek nie znajdzie się na półce w Empiku, ale jak wejdziesz się do Empiku internetowego, to się ją dostanie.

Ile pieniędzy ze sprzedaży musi oddać wydawca firmom sprzedającym jego książkę?

Dziś to minimum 50 procent ceny detalicznej. Przy sprzedaży mam jednak taką filozofię, że nie muszę na tej książce dużo zarobić, ale chcę, żeby ją ktoś kupił. Chcę najtaniej, jak się da, ją zrobić i najtaniej, jak się da, sprzedać.

To trochę nierynkowe, powinien pan jak najtaniej ją zrobić, a jak najdrożej sprzedać.

To mówi nasz rynek. Ale duże firmy mają inne koszty, niż takie wydawnictwo, jak moje.

Kiedyś maniacko kupowałem polskich autorów, żeby sprawdzić, w którą stronę to zmierza, ale tyle razy się zawiodłem, że w pewnym momencie doszedłem do wniosku, że to nie ma sensu, bo gros tego wszystkiego to zupełnie nieporozumienie.

Wydawał pan znanych autorów, jak kultowy w USA James Ellroy, Georges Simenon czy popularny w Polsce Jeffery Deaver. Jak się zdobywa takich autorów?

Ellroya to w ogóle sprowadziłem, potem dopiero przejęła go Sonia Draga. W Polsce już w latach 90. ładnie działał rynek agentów literackich. Dlaczego na przykład dostałem Forsytha na chwilę? Bo z Amberem było różnie, więc pani, która go prowadziła, na chwilę oddała go mnie. Mogłem to przeciągnąć, ale jak dla mnie były to już za duże pieniądze.

Generalnie te duże nazwiska, które wydawałem, to byli autorzy jeszcze przed swoim „topem”. Ellroy był wydawany przeze mnie w Polsce, kiedy oscarowy film „Tajemnice Los Angeles”, na podstawie jego książki pojawił się w kinach czy wypożyczalniach kaset i wszedł do „topu”. Ellroyem nikt się wcześniej nie interesował, bo to był taki autor mądry i trudny, jeżeli chodzi o kryminał. Nie każdemu się to podobało, że też był mocno polityczny, a my nie przepadałismy nigdy za kryminałem politycznym.

A Deaver?

Natomiast z Deaverem to był krótki piątek. Jedną jego książkę wydała firma – efemeryda. Mimo, że na świecie już był znany, to w Polsce nie, kiedy pojawił się „Kolekcjoner kości”, to ja go zacząłem wydawać. A „Kolekcjoner kości” zrobił furorę jako film. Potem wydawnictwo Prószyński zapłaciło znacznie większe pieniądze i ono zaczęło wydawać Deavera.

Byłem zresztą wtedy w takim amoku, że chciałem jak najwięcej tych fajnych autorów wyszukiwać, co prawie mnie wpędziło do grobu, bo oni się przestali sprzedawać, a niektórzy w ogóle się w Polsce nie sprzedawali.

Miał pan jakąś spektakularną wpadkę, zainwestował w jakiegoś autora i to kompletnie nie wypaliło?

Nie, zawsze byłem raczej ostrożny. Wpadka przyszła z innej stro-



Z ostatniego corocznego badania Biblioteki Narodowej wynika, że lekturę co najmniej jednej książki w ciągu roku poprzedzającego badania zadeklarowało 43 proc. ankietowanych. To o 9 punktów procentowych więcej niż w dwóch ostatnich latach i najwięcej od 10 lat.

fol. 123rf

ny. Chodzi o padanie wielkich hurtowni, jak Matras, i tworzenie się wielkich zatorów płatniczych. Dajmy na to ktoś kupił książkę w księgarni, zapłacił 20 złotych. Ja za miesiąc dostawałem informację, że tę książkę sprzedali. I od tego miesiąca mijało 3-4 miesiące, a w pewnym momencie od pół roku do roku, zanim z tych 20 zł klienta dostawałem 13-14 złotych.

A jak się towar nie sprzedawał?

To był problem, na początku lat 90 nie bardzo było wiadomo, co z tym robić. Dawać na prześmiał? Stosowano różne patenty, jak wymiana okładki, co przynosiło jakiś efekt, ale na krótko. Potem pojawił się w Polsce rynek – wiele osób na tym fortuny zrobiło – taniej książki. I to było świetne dla takich wydawnictw, jak moje, bo „tania książka” przychodziła, kładła pieniądze na stół i wychodziła z towarem. A żywot książki w Polsce był wtedy bardzo krótki.

A co do jaśniejszych stron. Miał pan w dorobku jakieś autentyczne bestsellery na skalę ogólnopolską?

Jeden. „Sentymenty” Agnieszki Osieckiej. Umowę jeszcze z nią podpisałem, ta książka sprzedała się w ponad 100 tysiącach egzemplarzy. Wiem więc, co to znaczy sprzedać taką książkę. Raz mi to było dane i bardzo się z tego cieszę.

Ostatnio wydaje pan bardzo dużo poezji - da się na tym w ogóle zarobić?

Wydaję poezję i klasyczną, i taką, której właściwie nie było – jak np. Wojciecha Bąka, zupełnie zapomnianego poety. To są często książki, które po prostu wychodzą na zero. Czasami to robię, bo czymś sam się interesuję i po prostu chcę to wydać. Tłumacze, z którymi pracuję, to często także pasjonaci.

Poezja mnie ratowała. Kiedy moje kryminały przestały się sprzedawać, bo pojawili się giganci na rynku, z którymi nie

byłem w stanie konkurować, kolega zaproponował mi, żebym zaczął wydawać poezję, bo się na tym znam. Wydałem Bursę, Poświatowską i to mnie uratowało. Później przestałem, robiłem tylko Staffa czy Pawlikowską – bo to się sprzedawało, całkiem nieźle do szkół, na nagrody. I przyszedł kolejny trudny moment, kiedy autorzy znani na rynku francuskim czy amerykańskim, ale u nas mniej, totalnie „siedli”. I znowu wróciłem do poezji, wszedłem w to dużo poważniej. Nawet Mickiewicza zrobiłem tak, żeby jakiś sentyment się w kimś odezwał, znalazłem rzadkie rzeczy, i okazało się, że musiałem zrobić jeden, drugi dodruk. Mam też wrażenie, że niektóre rzeczy, jak chociażby dawne poetyckie przekłady – bo kiedyś robili je wybitni poeci – po prostu ocaliłem od zapomnienia. Jest więc w tym też jakaś idea.

Dziękuję za rozmowę.

rozmawiał **Mariusz Załuski** ▲

SPORTOWO I (NIE TYLKO) BIZNESOWO

Bo sport to także show

Nikt inny nie umie tak dobrze łączyć sportu, biznesu i rozrywki, jak robią to Amerykanie. Wiadomo nie od dziś, że mecze tamtejszych lig to znacznie więcej niż tylko zwykłe wydarzenie sportowe. W ostatnich dniach kwietnia mogliśmy się o tym przekonać także w naszym regionie za sprawą wizyty grupy legendarnych koszykarzy.



fot. 123rf

Harlem Globetrotters – ta nazwa miłośnikom koszykówki mówi wszystko. Drużyna słynna jak mało która (na przestrzeni lat potrafili w niej wystąpić naprawdę wybitni zawodnicy), a przecież nie grająca w NBA. Ba, nie grająca w ogóle w jakiegokolwiek lidze, bo wcale nie o zdobywanie trofeów w całej tej koncepcji chodzi. Pomysł na Globetrotters jest prosty – mają bawić. Członkowie legendarnego zespołu to nie tylko uzdolnieni koszykarze, ale także specjaliści od wszelkiego rodzaju efektownych zagrań i trików z piłką. Akcje grane przez Amerykanów (choć nie tylko – w składzie jest też m.in. Polak) pełne są popisów i rzutów, których nie zobaczy się w tradycyjnym meczu. Aby widowisko było udane, Harlem Globetrotters mają oczywiście swoich rywali, czyli Washington Generals. Zespół przeciwników istnieje w jednym celu – ma przegrywać. I przegrywa – według szacunków na przestrzeni ostatnich siedemdziesięciu lat Generals ulegli uwielbianym przez kibiców Globetrotters jakieś szesnaście tysięcy razy.

W końcu kwietnia amerykańska grupa znowu gościła w Polsce i tym razem odwiedziła Toruń. Nie była to pierwsza taka wizyta, bo w przeszłości Globetrotters przed toruńską widownią już się popisywali, byli też w Bydgoszczy oraz we Włocławku.

Całkiem częste odwiedziny naszych miast są możliwe, bo Amerykanie wiedzą, jak najkorzystniej spieniężyć powodzenie swojego zespołu – równolegle inny skład pod tym samym szyldem prezentował tricke w miastach za oceanem.

Europejski styl kibicowania ogólnie różni się od tego, który obowiązuje w USA, gdzie widowisko, show i biznes często przebijają stronę czysto sportową.

I tak się ta sportowo-rozrywkowa karuzela kręci. Niby wszystko już znamy – pewne sztuczki czasem się powtarzają, zawsze powtarza się scenariusz, w którym Generals prowadzą, zaczyna pachnieć wielką sensacją i pierwszą porażką Globetrotters od 1971 roku, aż wreszcie następuje zryw idoli, którzy dzięki fantastycznym zagraniam z nawiązką odrabiają wszelkie straty i znów okazują niepokonani.

Rozmawiałem z osobami, którym zdarzyło się być na meczu NBA, czytałem też relacje tych, którzy byli

na spotkaniach najlepszej ligi świata, granych już nie dla rozrywki, a jak najbardziej serio. Pierwsze wrażenie jest zwykle podobne – wspaniałe widowisko sportowe, ale i kosmiczna otoczka, której zupełnie brakuje u nas. Harlem Globetrotters to show i rozrywka, ale w USA show tworzy się także wokół profesjonalnych wydarzeń sportowych, granych już w pełni na poważnie. Mnogość wszelkich dodatkowych atrakcji może aż przytłaczać, ale o to właśnie chodzi – kibic ma przeżyć znakomity i radosny wieczór korzystając z tego, co dla niego przygotowano. Poniesione przez kluby wydatki na marketing i wszystkie atrakcje zwrócą się przecież z nawiązką.

U nas niestety upłynie jeszcze dużo wody w Wiśle, zanim dojdziemy do takiego poziomu. Nie tylko zresztą my – europejski styl kibicowania ogólnie różni się od tego, który obowiązuje w USA, gdzie widowisko, show i biznes często przebijają stronę czysto sportową. Bo jeśli jakaś drużyna przestaje tam przynosić odpowiednie zyski, zdarza się nawet, że... jest przenoszona do innego miasta, gdzie wzbudzi większe zainteresowanie. I da większy zysk. Akurat tego, miejmy nadzieję, u nas nie będzie, ale samo

połączenie wyjścia na mecz z poczuciem, że idziemy się dobrze bawić, jest jak najbardziej słuszne. Zgoda, nie każda dyscyplina daje takie możliwości, jak koszykówka, która grana jest w hali bardziej sprzyjającej różnym konkursom i aktywnościom niż stadion piłkarski, na którym już samo boisko jest zdecydowanie większe. Starać się jednak warto, by kibic, szczególnie w przerwach od sportowej rywalizacji, czuł, że nie jest pozostawiony sam sobie i nie musi nudzić się przez kwadrans czekania na wznowienie gry. Pole do popisu kluby mają duże, jedne starają się i próbują bardziej (dobry przykład to koszykarskie Twarde Pierniki Toruń, u których w przerwie odbywają się rozmaite konkursy i zabawy z udziałem fanów), inne zdecydowanie mniej. A warto, nawet jeśli nie każdy mecz to taki poziom show, jak rozrywkowe granie Harlem Globetrotters.

A ci w Toruniu przedmajątkowy mecz wygrali. Tak jak dawniej wygrywali w Bydgoszczy i wygrywali we Włocławku. Jak wygrywają niezmiennie, po tej i tamtej stronie oceanu. Bo przecież po to istnieją, żeby dawać kibicom zabawę.

naszym okiem



Wielka świąteczna majówka

No, to się na początku maja naświętowaliśmy... I słusznie, bo warto zmanifestować, że obok wszystkiego, co nas różni i dzieli, jak w każdym zresztą demokratycznym, a więc pluralistycznym społeczeństwie, jeszcze więcej nas łączy. Na dodatek piękna pogoda zachęcała do wyjścia z domu. W tym roku, tych okazji do wyjścia było szczególnie dużo, bo oprócz święta flagi i kolejnej rocznicy uchwalenia pierwszej polskiej konstytucji, celebrowaliśmy także 20-lecie przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. W całym regionie odbyło się wiele związanych z tym wydarzeń – od tych najbardziej dostojnych uroczystości oficjalnych aż po imprezy o bardziej rodzinnym, sportowym czy kulturalnym charakterze. Bydgoszczanie rocznicę akcesji do UE świętowali m.in. piknikiem rodzinnym na Wyspie Młyńskiej, a torunianie Dzień Flagi – imprezami na Rynku Staromiejskim.

red ▲

ZDJĘCIA:

TOMASZ CZACHOROWSKI
ANDRZEJ GOIŃSKI,
SZYMON ZDZIEBŁO/TARANTOGA.PL
– dla UMWK-P



Życie Regionu
Kujawy-Pomorze.info

WYDAWCA:
Kujawsko-Pomorski
Fundusz Rozwoju Sp. z o.o.

ADRES:
ul. Przedzamcze 8,
87-100 Toruń

REDAKTOR NACZELNY:
Mariusz Załuski

REDAKTOR WYDANIA:
Ryszard Warta

KONTAKT: portal@kpfr.pl